

Jednomyślność i polskie interesy

To wszystko nie znaczy, bym kogokolwiek namawiał do rychłej odmiany polskiego stanowiska i przyłączenia się do coraz silniejszego europejskiego „klubu przyjaciół podwójnej większości”. Raczej potrzebna tu może się okazać dyplomatyczna gra, w której ewentualne polskie ustępstwo będzie musiało być przez Berlin drogo u nas kupione. Kluczowych, a zarazem bardzo konfliktowych polskich interesów, które by warto za taką cenę kupić, jest dziś tak wiele, że nie trzeba tu nawet niczego podpowiadać – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Trochę zamieszania zrobiło się po tym, jak rząd w Madrycie nie tylko zgłosił poparcie dla niemieckiego projektu ograniczenia prawa weta, ale na dodatek zasygnalizował intencję przeforsowania tego projektu jeszcze w tym roku, podczas hiszpańskiej prezydencji w Radzie Unii. Prawdę mówiąc, nie wiadomo na czym miałyby polegać plan działania Hiszpanów, skoro rzecz wiąże się z koniecznością uzyskania zgody wszystkich, co w dzisiejszych europejskich realiach wygląda na polityczną niemożliwość. Ale co więksi euro-pesymiści (jak np. poseł Legutko) przestrzegają, iż: „trzeba im patrzeć na ręce”, gdyż doświadczenie poucza, że wpisywane niegdyś z namaszczeniem w traktatach rozmaite prawne reguły *de facto* są martwe, a „wolna amerykanka” to najgłówniejsza podstawa ustrojowa dzisiejszej Unii. Na razie jednak wygląda na to, że hiszpańska prezydencja w ogóle będzie mieć problem z przeprowadzeniem do końca roku jakichkolwiek swoich zamiarów, a to z powodu kryzysu politycznego w Madrycie i

prawdopodobnego upadku rządów Sancheza w wyniku zapowiedzianych na lipiec wyborów. Ale jak nie od dziś wiadomo, w Unii jest tak, że co się odwlecze to nie uciecze.

Inicjatorem presji na ograniczenie zakresu prawa weta jest Berlin, choć z podobnym planem występowała już parę lat temu Komisja Europejska pod szefostwem Junckera

Inicjatorem presji na ograniczenie zakresu prawa weta jest Berlin, choć z podobnym planem występowała już parę lat temu Komisja Europejska pod szefostwem Junckera. Kanclerz

Scholz kilkakrotnie występował publicznie z tym żądaniem, począwszy od znanej mowy, wygłoszonej w sierpniu 2022 roku na praskim Uniwersytecie Karola. Niemcom chodzi w pierwszej kolejności o głosowanie większościowe w materii wspólnej polityki zagranicznej, oraz ewentualnie – również unijnych finansów. W kluczowej kwestii spraw zagranicznych Berlin, który zawsze stał za polityką prowadzoną metodą kunktatorsko – pragmatyczną, i to niezależnie kto akurat sprawowałby władzę, obawia się trendu politycznej radykalizacji niektórych krajów, i to bynajmniej nie tylko na unijnych obrzeżach. Chodzi głównie o przyszłe relacje z trzema globalnymi mocarstwami, z którym Niemcy chciałyby *a la longue* żyć w jakiej takiej zgodzie i móc robić interesy. A to wymaga: po pierwsze – blokowania odradzającego się ciągle na południu Unii antyamerykanizmu (np. we Francji czy Grecji); po drugie – izolowania nadmiernej gorliwości niektórych w konfrontowaniu się z Pekinem (np. na Litwie); wreszcie po trzecie –

pozostawienia otwartych drzwi do powrotu normalnych relacji z Rosją, co potencjalnie mogą uniemożliwić kraje wschodnie (np. Polska, państwa bałtyckie).

Gdy zaś idzie o materię finansów, to Niemcy, które na tym polu dość często pozostawały w Unii osamotnione (zazwyczaj w towarzystwie Holandii bądź Polski) są chyba gotowe do zrobienia „prezentu” Francji, nie od dziś zainteresowanej tym, aby zwiększyć decyzyjną moc większości krajów żądnych rosnącej solidarności finansowej Unii i jej wspólnotowego zadłużania się. Całkiem niedawny przypadek zablokowania przez Berlin, w zasadzie w pojedynkę, dokończenia tzw. „unii bankowej” (poprzez wspólnotowy system gwarantowania depozytów) pokazuje, iż narodowy interes Niemiec w zniesieniu jednomyślności na tym polu jest dość wątpliwy. Zresztą możliwe, że obecne entuzjastyczne zaangażowanie Macrona w niemiecki plan walki z jednomyślnością wynika właśnie z tego rodzaju nieformalnego ułożenia wzajemnych interesów (choć nigdy takiego „dealu” nie ujawniono). W każdym razie, o ile należy się spodziewać sporej determinacji rządu Scholza w likwidowaniu jednomyślności w polityce zagranicznej, to w finansach – raczej rozglądania się przez Niemców, jak reaguje reszta Europy.

Co prawda traktaty europejskie zawierają kilka, dość zawiłych sposobów, pozwalających na zmianę trybu podejmowania decyzji w Unii, to nie do przejścia jest formalny wymóg jednomyślności takiej zmiany. Albo na tzw. konferencji międzyrządowej, albo w Radzie Europejskiej bądź w Radzie (w przypadku tzw. kładki), albo w końcu – braku sprzeciwu któregośkolwiek z parlamentów narodowych. Jak zwał, tak zwał, ale zawsze na końcu każdy kraj ma prawo weta. Organizując zatem obecnie, z niezłym powodzeniem, „klub przyjaciół większości

kwalifikowanej”, Niemcy nie myślą o wymuszeniu zmiany ze zignorowaniem oporu mniejszości, ale raczej o stopniowym nasilaniu presji, która opornych postawiłaby w sytuacji bez wyjścia. Tak przecież wielokrotnie przełamywano opór mniejszości. Wystarczy przypomnieć choćby tylko trzy wielkie polskie porażki: wymuszenie na Kaczyńskim zgody na odejście od „systemu nicejskiego”, na Tusku – wyśrubowanych parametrów dekarbonizacji (po dwóch polskich wetach), czy na Morawieckim – mechanizmu „warunkowości budżetu”. W każdym z tych przypadków decyzje podjęto na końcu jednomyślnie, przy faktycznej kapitulacji Polski, niewidzącej już sensu w dalszym stawianiu oporu.

Pamiętając o tych kiepskich dla naszego kraju precedensach, nie warto czynić z jednomyślności w polityce zagranicznej kwestii wyłącznie ideologicznej. Oczywiście, każde ograniczenie jednomyślności jest krokiem ku Unii bardziej wspólnotowej, a więc głębiej ogranicza suwerenność narodową. Ale powiedzmy sobie szczerze, większościowy tryb decydowania o unijnej polityce zagranicznej, godzi w suwerenność narodową w znacznie mniejszym stopniu, niżli zgoda na program „EU Next Generation”, który za pomocą tzw. kamieni milowych skonstruował efektywny mechanizm zwierzchnictwa Komisji Europejskiej nad całą polityką wewnętrzną, a nawet nad zasadami ustroju naszego państwa (vide: *casus* sądownictwa). Albo też zaakceptowana dość łatwo przez Polskę reguła „warunkowości budżetu”, wedle której musimy być posłuszni unijnej Karcie Praw Podstawowych, której swego czasu celowo nie ratyfikowaliśmy (co zresztą było wówczas przedmiotem porozumienia Tuska z Kaczyńskim). Co więcej, wobec radykalnego zwrotu europejskiej polityki wschodniej po wybuchu wojny, w perspektywie kilku najbliższych lat nie widać jakichś szczególnie ostrych pól konfliktu

pomiędzy Warszawą i Brukselą na polu polityki międzynarodowej. Owszem, widać wyraźnie kolejne takie pola, gdy idzie o ekonomię czy polską politykę wewnętrzną (np. pieniądze, sądy, imigranci etc.).

Dla Polski cała rzecz może się jeszcze rychło dodatkowo pokomplikować, jeśli to Kijów wystąpi z postulatem większościowych głosowań w Unii

Dla Polski cała rzecz może się jeszcze rychło dodatkowo pokomplikować, jeśli to Kijów wystąpi z postulatem większościowych głosowań w Unii. A tak się za jakiś czas

stanie niemal z pewnością, z dwóch powodów. Po pierwsze, bo sprzeciwy Węgier, Austrii, Bułgarii, Słowacji czy Cypru będą stanowić coraz częstsze alibi dla Unii po temu, by ignorować ukraińskie żądania wsparcia w bardzo różnych dziedzinach. A po drugie, bo zachodnioeuropejskie mocarstwa już dość jasno dają znać rządowi Ukrainy, że negocjacje akcesyjne rozpoczną się tak prędko, jak tylko Kijów przekona swoich najbliższych wschodnioeuropejskich aliantów (z Polską na czele) do uznania podwójnej większości w materii polityki zagranicznej. Widać, że spór o handel rolny stworzył już precedens otwartego konfliktu polsko-ukraińskiego, a Zeleński nie miał jakichś skrupułów zgłaszając w Brukseli oficjalne żądanie odrzucenia polskiego stanowiska, zaś do Warszawy śląc notę o „kategorycznej niedopuszczalności ograniczeń importu produktów rolnych Ukrainy”. Relacje polsko-ukraińskie, po okresie euforii, z wielu powodów zjeżdżać teraz będą w dół (pytanie tylko jak ostro i jak szybko). A jeśli polski sprzeciw wobec zmian w systemie decyzyjnym zostanie zręcznie przedstawiony w Brukseli, jako jedyna przyczyna blokady otwarcia

negocjacji akcesyjnych z Kijowem, będziemy mieć wszelkie szanse, aby spozycjonować się jako drugi, najgorszy po Rosji, przeciwnik interesów Ukrainy.

To wszystko nie znaczy, bym kogokolwiek namawiał do rychłej odmiany polskiego stanowiska i przyłączenia się do coraz silniejszego europejskiego „klubu przyjaciół podwójnej większości” (Francuzi pozyskali ostatnio do niej rząd rumuński). Raczej potrzebna tu może się okazać dyplomatyczna gra, w której ewentualne polskie ustępstwo będzie musiało być przez Berlin drogo u nas kupione. Kluczowych, a zarazem bardzo konfliktowych polskich interesów, które by warto za taką cenę kupić, jest dziś tak wiele, że nie trzeba tu nawet niczego podpowiadać. Rzecz jednak w tym, że jeśli kwestię jednomyślności w unijnej polityce zagranicznej będziemy traktować jako „sprawę niepodległości”, albo „upadku Polski”, to nie tylko będziemy mijać się z prawdą o rzeczywistości. Ale na dodatek, ktoś w końcu w naszym imieniu (któryś premier albo prezydent), pod zmasowaną presją kolejnego unijnego szczytu, machnie ręką na całą rzecz za darmo, ku wielkiej satysfakcji naszych niemieckich sąsiadów. Od czasu, gdy za nic oddaliśmy nicejski system decyzyjny, zbyt wiele razy powtarzał się już taki scenariusz. Najgorzej dla polskich interesów by było, gdyby miał się powtórzyć po raz kolejny.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
